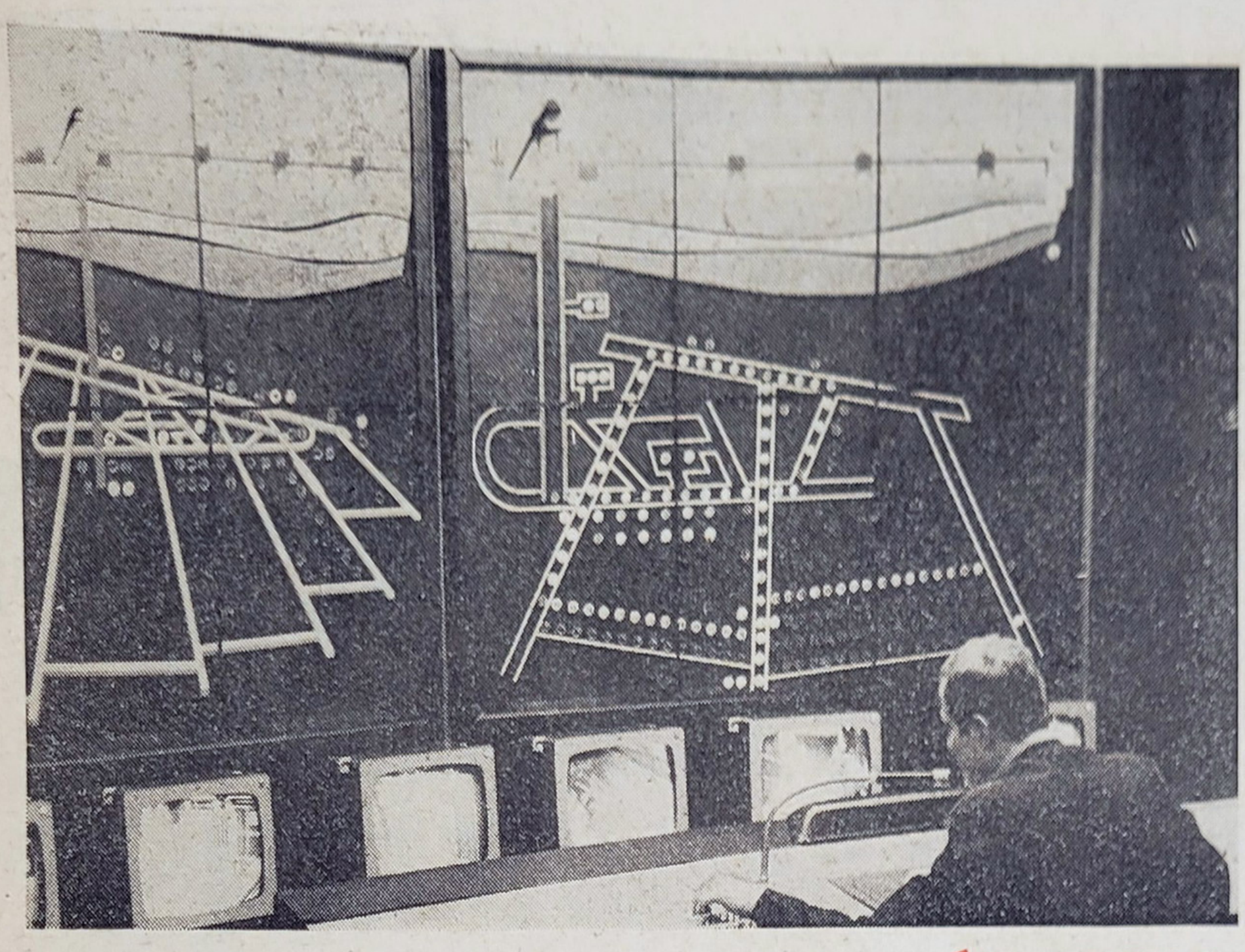

NAJNOWOCZEŚNIEJSZA NA ŚWIECIE

ZWIEDZIŁEM „JANA". Jest to najnowocześniejsza w Polsce i na świecie — całkowicie zautomatyzowana — kopalnia węgla kamiennego. Tutaj „czarne złoto" wydobywają spod ziemi tylko i wyłącznie maszyny. Górnicy — z tytułami magistrów-inżynierów oraz techników różnych specjalności — dbają przede wszystkim o to, aby automaty pracowały bez awarii. I trzeba powiedzieć, u „Jana" człowiek opanował całkowicie najbardziej skomplikowane urządzenia. Zmusił je do bezawaryjnej, wydajnej pracy. Tym samym ułatwił sobie życie. I tak właśnie musi być! Tego wymaga nowoczesność, a więc przyszłość...

Ciąg dalszy na str. 2

Dyspozytornia — mózg i serce kopalni. Pracuje tu jeden inżynier. Obserwuje on na ekranach telewizyjnych cały tok produkcji, zarówno pod ziemią jak i na powierzchni. Tysiące elektronowych czujników informują inżyniera o stanie bezpieczeństwa w kopalni. Stąd można się połączyć z każdym stanowiskiem pracy w kopalni, z każdym górnikiem, aby wydać mu odpowiednie polecenia.

KOPALNIA JANA

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 97 (1881) 5 grudnia 1969 r. Cena 50 gr

Fronton cukierni Bliklego w 1890 roku (drzeworyt).

NOWIKIEM — tak starzy warszawiacy nazywali ulicę Nowy Świat — kursowały wtedy, obok eleganckich powozów i dorożek z wąsatym woźnicą na koźle, żółte, konne omnibusy zwane „kanarkami". Miedzy stojącymi po obu stronach ulicy starymi, dwupiętrowymi kamieniczkami w stylu klasycznym, prześwitywały jeszcze ogródki a nawet pola. Szyldy w języku rosyjskim i polskim przypominały, że Powstanie Styczniowe zakończone przed pięciu laty klęską — nie spełniło nadziei na niepodległość

HISTORIA ciastkami pisana

Dalszy ciąg opowieści o starej Warszawie i historii cukierni pana Bliklego czytaj na str. 4—5.

C. d. ze str. 1

Jedziemy asfaltową szosą przez iglasty lasek. W pewnej chwili drzewa rzedną i widzę przed sobą szereg nowoczesnych i kolorowych pawilonów.

— Sanatorium? — zwracam się do towarzyszącego mi przedstawiciela Ministerstwa Górnictwa, magistra-inżyniera Augustyna Klajnowicza.

— Jakie znowu sanatorium? — słyszę w odpowiedzi. — To jest właśnie kopalnia „Jan".

Zatrzymujemy się przed bramą. Dopiero teraz dostrzegam w głębi smukłą konstrukcję szybu wyciągowego. W portierni dyżurny wypisuje nam przepustki i oto wchodzimy na teren „Jana".

Uderza mnie przede wszystkim panująca tu cisza i... pustka. Kopalnia sprawia wrażenie wyludnionej. I jak tu czysto wszędzie i schludnie: alejki, chodniki, trawniki, klomby, drzewa i krzewy róż, które jeszcze przed miesiącem musiały być obsypane kwiatami.

Otwieramy drzwi do jednego z pawilonów. Na parapetach okiennych, wzdłuż ścian, na podłodze — znowu kwiaty: kaktusy, oleandry, nawet palmy... Czujemy się trochę jak w kwiaciarni...

Ale oto i gabinet naczelnego dyrektora — mgra inż. Andrzeja Marcinkiewicza. Zasiadamy w fotelach.

— Od kilkunastu minut jestem na terenie kopalni i jeszcze nie udało mi się zobaczyć prawdziwego górnika — mówię.

— Prawdziwego, a więc pewnie czarnego od węgla? — śmieje się dyrektor. — Takiego się u nas nie zobaczy! Dziś, w takiej jak nasza kopalni, górnik wcale nie musi mieć silnych mięśni, za to musi mieć w kieszeni dyplom ukończenia wyższej uczelni lub technikum, ażeby obsługiwać elektronowe urządzenia i maszyny, które wykonują za niego najcięższą pracę. Przekona się pan, że nie przesadzam...

*

Dochodzi godzina czternasta. Za chwilę syrena zabuczy na zmianę. Ci, którzy pracują pod ziemią, wyjadą na powierzchnię. Zakończą swoją pracę.

Pędzę na podszybie. O tej porze przy windzie powinien być tłum górników, oczekujących na zjazd pod ziemię. Dostrzegam... tylko siedmiu ludzi. Czyżby więc jedna zmiana w kopalni „Jan" liczyła... siedem osób? Nie mylę się. Tak jest naprawdę. Siedmiu górników w kopalni „Jan" obsługuje zautomatyzowany zespół maszyn, urządzeń i taśmociągów, które, sprzężone ze sobą, wydzierają ziemi setki ton węgla dziennie! Maszyny te noszą fachową nazwę... zautomatyzowanej ściany „ASI". Mogę wam powiedzieć, że ściana „ASI" składa się z około 500 tysięcy elementów sprzężonych ze sobą, a nad bezawaryjnością jej urządzeń „czuwają" elektronowe czujniki, których jest aż 2400 sztuk.

Jestem na dole — 290 metrów pod ziemią. Siedmiu górników — a więc dyspozytor ściany „ASI", obserwator kombajnu, obserwator obudowy, dwaj elektrotechnicy, elektronik i hydraulik — obejmują swoje posterunki pracy. Śledzić będą odpowiednie wskaźniki i zegary oraz czujniki, które informują ich o pracy zespołów maszyn i urządzeń. Wzdłuż korytarzy posuwają się taśmociągi w stronę szybu wydobywczego. Zapełniają się odpowiednie przegrody węglowe. Windy ciągną węgiel w górę, na powierzchnię, na następne taśmociągi. I tak przez 16 godzin na dobę. Ostatnia — trzecia zmiana — jest przeznaczona na konserwację i remont sprzętu.

Po godzinie wyjeżdżam na powierzchnię. Do samego „przodka" nie dotarłem. Mówią mi tu, że nie warto. Zobaczyłbym po prostu węglowy kombajn, którego mechanizmy tną ścianę węglową na długości 160 metrów. Maszyna przesuwa się

Widok ogólny kopalni „Jan". W głębi smukła sylwetka szybu wyciągowego. Kopalnia istnieje dopiero jeden rok, a dała już krajowi milion ton „czarnego złota".

KOPALNIA JAN

Tekst: Z. PAWŁOWSKI
Foto: K. ADAMOWSKI

„CZARNE ZŁOTO"

● „Jan" jest najnowocześniejszą kopalnią węgla na świecie. Nie znaczy to jednak, że w innych polskich kopalniach wydobywa się węgiel łopatą i kilofem. Oto niektóre cyfry: w roku 1958 urabiano kombajnami tylko 2 miliony ton węgla, w roku ubiegłym wydobyto w sposób mechaniczny 50 milionów ton węgla, natomiast do końca bieżącego górnicy wydobędą 135 milionów ton węgla — w tym 78 proc. w sposób mechaniczny. Te dane stawiają nasz przemysł węglowy w czołówce światowej pod względem nowoczesności pracy.

● Wizja kopalni bez ludzi narodziła się przed kilku laty w Zakładach Konstrukcyjno-Mechanicznych Przemysłu Węglowego w Gliwicach. Pomysł został zrealizowany. W roku 1967, na międzynarodowej wystawie w Moskwie, tzw. zautomatyzowana ściana „ASI" i „BESTA" wzbudziła olbrzymie zainteresowanie zagranicznych specjalistów. Właśnie te całkowicie zautomatyzowane urządzenia pozwalają wydobywać węgiel bez udziału górników.

● Polskie górnictwo potrzebuje wielu różnych specjalistów. W 25-leciu naszego ludowego państwa szkoły górnicze ukończyło 180 tysięcy młodzieży. Tytuł technika górniczego zdobyło ponad 40 tysięcy młodych ludzi.

(zp)

z jednego końca ściany na drugi, w sposób automatyczny, co 45 minut. Węgiel spada na żelazne taśmociągi i wędruje nimi aż na górę.

*

Kiedy stałem pod ciepłym prysznicem, myślałem sobie: dzienna produkcja „Jana" wynosi 2 500 ton. Tradycyjnym sposobem trzeba by przy tej porcji węgla zatrudnić setkę górników. Tu jest ich kilkunastu na jednej zmianie i nie biorą oni nawet węgla do ręki. A więc... XXI wiek? Tak, tu u „Jana" wydobywa się węgiel najnowocześniej i najszybciej. W przyszłości będzie tak i w innych polskich kopalniach.

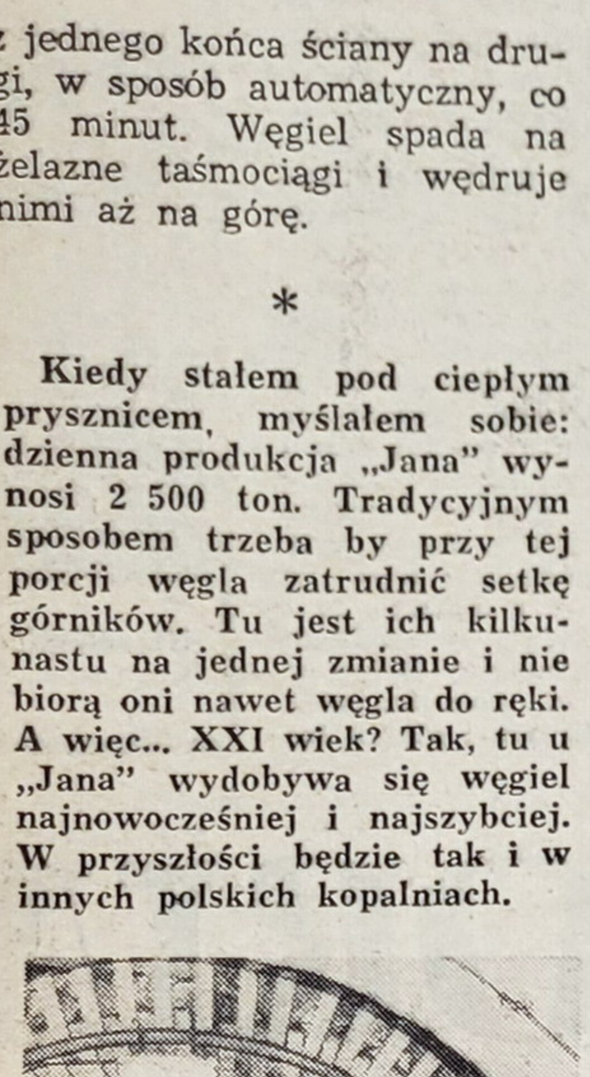

Transport węgla — na dole i na powierzchni — odbywa się tylko taśmociągami.

Ten górnik dzwoni do dyżurnego, obsługującego windę.

Korespondencja z Bułgarii

Skrzydlaty KURIER

NA DACHU GOŁĘBNIKA, po samej krawędzi, spacerował gołąb. Przystanął na jednej nodze, potem na drugiej...

Goszo i Kojczo już od dawna hodowali gołębie. Do najprzyjemniejszych chwil w ciągu dnia należały te, kiedy z zadartymi do góry głowami mogli śledzić krążących w górze swoich pupili.

— Eh, a co ty tu robisz, zmykaj do stada, bo się jeszcze zgubisz — powiedział do spacerowicza Kojczo, a Goszo pogonił go długą kolorową szmatą. Dziś tak jak i co dzień chłopcy wypuścili swoich wychowanków na podniebny spacer.

Po kilku dniach zdarzyła się jednak rzecz dotychczas nie znana. Jedna z gołębic zniosła jajka i wysiadywała je troskliwie w gnieździe. Wszyscy inni mieszkańcy gołębnika pomagali jej w tym, jak mogli. Gdy wychodziła zjeść sobie trochę ziarna, jej miejsce na gnieździe zajmował inny gołąb.

Któregoś dnia Kojczo zbyt szybko rzucił gołębicy pokarm. Zerwała się pospiesznie i jedno z jajek wytoczyło się z gniazda. Kojczo wziął je do ręki i korzystając z chwilowej nieuwagi ptaka wsunął z powrotem. Na szczęście było całe! Od tej pory gołębica siedziała zupełnie bez ruchu, może nawet i nie zorientowała się, co się zdarzyło, ale podświadomie broniła swoich dzieci.

Mimo tej przygody, po bardzo niedługim czasie, pewnego ranka zapiszczały w gnieździe cztery małe gołąbki. Wszystkie były bielutkie, miały bardzo długie szyje i czerwonawe łebki. Otwierały szeroko dzioby i wołały: „pi-ja, pija!"... Były głodne, więc matka odleciała, aby poszukać dla nich czegoś do zjedzenia.

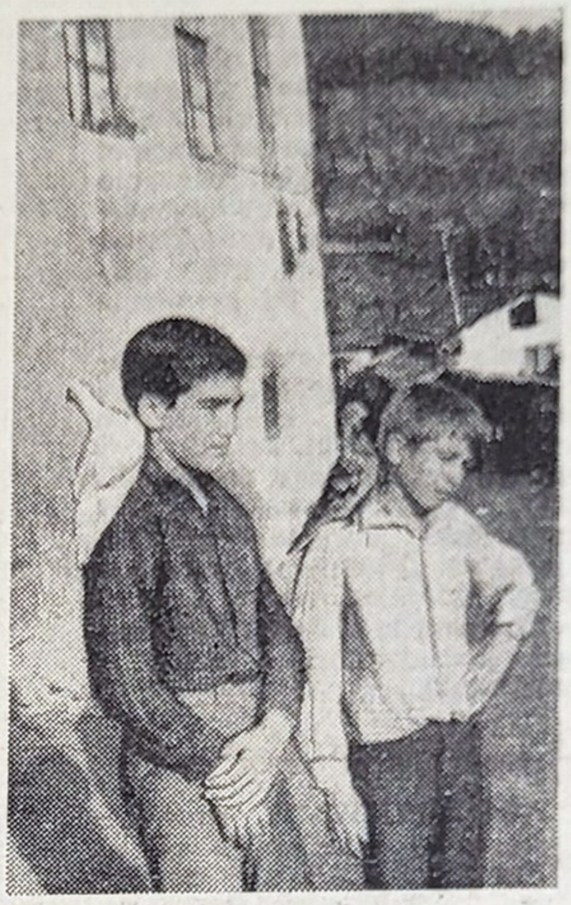

Widocznie coś musiało się jej przytrafić, bo bardzo długo nie wracała do gniazda. Kojczo i Goszo obeszli wszystkie sąsiednie gołębniki. Na próżno!

Myśleli, że już nigdy jej nie zobaczą! Jednak tego dnia, gdy wszyscy razem oglądaliśmy nowy (zbudowany przez Kojcza i Goszę) gołębnik z pięknej czerwonej cegły, nagle zjawiła się i sama przeniosła swe dzieci do nowego „mieszkania".

A ile to potem było problemów z nauką latania! Małemu gołąbkowi trudno jest tak od razu fruwać, trudno jest stać na jednej nóżce, trudno jest nauczyć się samemu o siebie troszczyć. Kojczo i Goszo starali się we wszystkim pomagać swoim ulubieńcom. Tak! Nawet muchy dla nich łowili!

Latem Kojczo wyjechał na wakacje do dalekiej bałkańskiej wioski. Napisał do Goszo, który został w domu, a list przyczepił do nóżki gołębia, którego zabrał ze sobą. — Tęskno mi za gołąbkami — pisał — a ty, Goszo, opiekuj się „malcami"... — Po kilkunastu godzinach lotu ptak dotarł z listem do gniazda. — No, i kto ma takiego skrzydlatego kuriera jak my?! — cieszył się Goszo. — Niedługo będziemy ich mieć więcej. Nasi „malcy" rosną, mają zadatki na prawdziwych mistrzów, będą najlepszymi akrobatami w powietrzu!

BORYS KATRAFIŁOW

Foto: autora

UWAGA, ENTUZJAŚCI SPORTU!

HARCERSKA AKADEMIA OLIMPIJSKA ZAPRASZA NA SPOTKANIE Z MISTRZAMI JUDO!

MIŁO MI ZAKOMUNIKOWAĆ wszystkim entuzjastom sportu, iż dnia 16 grudnia 1969 roku, o godzinie 15.30, odbędzie się spotkanie dziewcząt i chłopców z mistrzami judo! Sekretarz Akademii będzie Was oczekiwał — z białym guzikiem „Lubię Świat Młodych" w klapie kurtki — przed głównym wejściem do Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie (Bielany, Marymoncka 34).

NASZ PROGRAM PRZEWIDUJE:

- **Praktyczny kurs lekcji judo w wykonaniu dwóch zawodników z klubu „Sioubukai".**
- **Informację o tym jak, gdzie i kiedy trenować judo.**
- **Naukę chwytów samoobrony.**

Poza tym każdy będzie mógł zadać dowolne pytanie znanym trenerom tej dyscypliny sportu.

Na spotkanie można przyjść ze starszym bratem lub siostrą, nawet z rodzicami. Oczywiście, przedtem należy wyciąć z gazety nasze zaproszenie i zjawić się w redakcji po pieczątkę. (Nasz adres: Warszawa, ul. Mokotowska 24).

Sekretarz HAO

Foto: M. Swiderski

ZAPROSZENIE

Rektor Harcerskiej Akademii Olimpijskiej zaprasza kol. . . . . na spotkanie z mistrzami judo.

Spotkanie odbędzie się w dniu 16 grudnia 1969 roku o godz. 15,30 w jednej z sal Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Zbiórka przed wejściem do AWF-u.

(Pieczątka redakcji.)

HISTORIA ciastka

W tej scenerii, przed stu laty, w dniu 11 września 1869 roku, w kamienicy oznaczonej wówczas numerem 31 został spisany w języku polskim rejentalny akt kupna — sprzedaży małej cukierenki. Jak stwierdzał dokument, opatrzony wiszącą na sznureczku czerwoną, lakową pieczęcią, stary mistrz cukierniczy, Michalski, odsprzedawał zakład swojemu pracownikowi Antoniemu Blikle.

Tak się to zaczęło...

1. Początki

RODZINA BLIKLÓW przybyła do Polski ze Szwajcarii na przełomie XVIII i XIX wieku. Wśród warszawskich cukierników przeważali w tym czasie cudzoziemcy, w większości Włosi i Szwajcarzy. Nie wpadajmy jednak w kompleks z tego powodu. Stare zapiski kronikarskie podają bowiem, że smakowite **„confecti i marcipani"** przyrządzali już w czasach króla Jagiełły polscy... aptekarze. Powiązania tych obu fachów musiały istnieć jeszcze za króla Stasia, skoro znany w stolicy cukiernik Baltresco reklamował się, że oprócz ciast i cukrów sprzedaje **„pomadę do rośnienia włosów"** i **„ciasto do zębów chędożenia"**.

Czternastoletni Antoni, syn rzeźbiarza, zaczął naukę zawodu u mistrza cukierniczego Kacpra Semadeniego w Łomży. Po trzech latach, z dyplomem czeladniczym i celującą opinią w kieszeni, przybył do Warszawy i trafił do cukierni Michalskiego.

Zostawszy właścicielem firmy z całą energią zabrał się do jej rozbudowy. W wyniku tych zabiegów w ogłoszeniu reklamującym firmę, zamieszczonym w **„Kalendarzu Ilustrowanym Józefa Ungra na rok zwyczajny 1889"** mógł napisać:

„Zakład mój, przez znaczne powiększenie lokalu, uczyniłem dla każdego dostępnym, dla niepalących jest obszerny sklep, dla palących czytelnia, dla grających w obszernej sali dwa bilardy najnowszej konstrukcji, nadto odpowiednie miejsca dla swobodnej gry w szachy".

2. Giełda aktorska

PIERWSZYMI, którzy docenili te starania pana Antoniego, byli aktorzy. Przesiadywali w cukierni tak chętnie, że stała się ona czymś, w rodzaju giełdy aktorskiej, **„przez którą** — jak twierdził Stefan Jaracz — **przechodziło wszystko, co potem błyszczało na pierwszej scenie polskiej"**. Były to czasy, kiedy wśród aktorów, którzy nie dobili się jeszcze sławnego nazwiska, panowało duże bezrobocie. Zwłaszcza młodzi całymi miesiącami wyczekiwali na zaangażowanie choćby do jakiegoś prowincjonalnego teatru, choćby do jakiegoś programu rewiowego, który zresztą często, zaraz po premierze — robił „plajtę".

Giełda aktorska zapoczątkowała związki cukierni Blikle'go i samych mistrzów cukierniczych — ze światem sztuki. Bywali tu w tamtych czasach tak słynni aktorzy, jak Żółkowski, Jaracz, Leszczyński, Owerło czy Siemaszkowa. Odwiedzał cukiernię pisarz Tetmajer, wielcy malarze — Chełmoński i Fałat; jako student konserwatorium zachodził Paderewski...

3. „Na wysoki połysk"

LATA UPŁYWAŁY, zmieniały się czasy i zmieniało się na Nowiku. „Kanarki" zastąpił konny tramwaj, aby od 1909 roku ustąpić miejsca elektrycznemu. Pomiędzy stare kamieniczki zaczęły się wpychać nowocześniejsze, secesyjne brzydoty. Lampy gazowe wypierało wprowadzane w Warszawie od 1884 roku oświetlenie elektryczne.

Zmieniło się i u Blikle'go. W 1903 roku firmę przejął syn założyciela Antoni Wiesław i zabrał się do kolejnego unowocześnienia cukierni. Konkurencja nie pozwalała na sentymenty. Zlikwidował więc nowy przynęcpał bilardy, wprowadził szatnię, lampy gazowe zastąpił kryształowymi żyrandolami. W początkach lat dwudziestych przytulna cukierenka przekształciła się w lokal „na wysoki połysk", w którym po południu przygrywała orkiestra.

Zachodzili tu nadal przedstawiciele śmietanki artystycznej stolicy — wybitni pisarze: Zapolska, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski, Boy-Żeleński; sławni aktorzy: Solski, Zelwerowicz, Osterwa, Fertner; znani rzeźbiarze: Dunikowski, Szczepkowski; słynni muzycy, malarze, profesorowie wyższych uczelni.

Sprzyjały zapewne tym odwiedzinom zamiłowania artystyczne pana Antoniego Wiesława. Amatorsko interesował się rzeźbą, dwa razy wystawiał nawet swoje prace w Zachęcie. Grał na fortepianie, próbował komponować, był też zamiłowanym numizmatykiem, zbieraczem antyków i sportowcem. Po ojcu, założycielu Cechu Cukierników — odziedziczył pasję do pracy społecznej, czego dowiódł piastując funkcję podstarszego, czyli wiceprezesa cechu.

Tymczasem w firmie pojawia się trzecia generacja Bliklów. Od początków lat dwudziestych n[ie]kę fachu rozpoczyna pan Jer[zy] aby w 1928 roku objąć zakład

4. Burzliwe lata

PRZYSZEDŁ ROK 1939. P[an] Jerzy znalazł się we wrz[e]niu na froncie, cukiernię pr[o]wadziła jego żona. Z zapaso[w] mąki posiadanej przez firmę w[y]piekano w obleżonej stolicy zw[y]czajne pieczywo, rozsprzedawa[no] za grosze czy nawet rozdawa[no] za darmo. Zaraz po kapitulac[ji] Warszawy sprzedawano klientom herbatę, kawę zbożową i czarn[y] chleb z marmoladą. Potem były i ciastka wypiekane z tego, co się trafiło — to z lepszego, to z gorszego surowca. W każdym miesiącu wysyłał pan Blikle w tych latach za pośrednictwem Czerwonego Krzyża i innych instytucji po kilkadziesiąt paczek do obozów koncentracyjnych i więzień, utrzymywał w domach wychowawczych kilkoro dzieci po poległych w 1939 roku pracownikach firmy.

W tych latach okupacji na tyłach lokalu zwolniły się ogrody należące do Klubu Myśliwskiego. Blikle odnajął je od właściciela i zorganizował kawiarnię — ogródek pod nazwą „Latona"... Ustawiono tam 350 stolików i muszlę koncertową. Brzmi to może dla nas niezbyt zrozumiale.

Oto jak ubierali się warszawiacy na początku obecnego stulecia. Rys. K. Górski

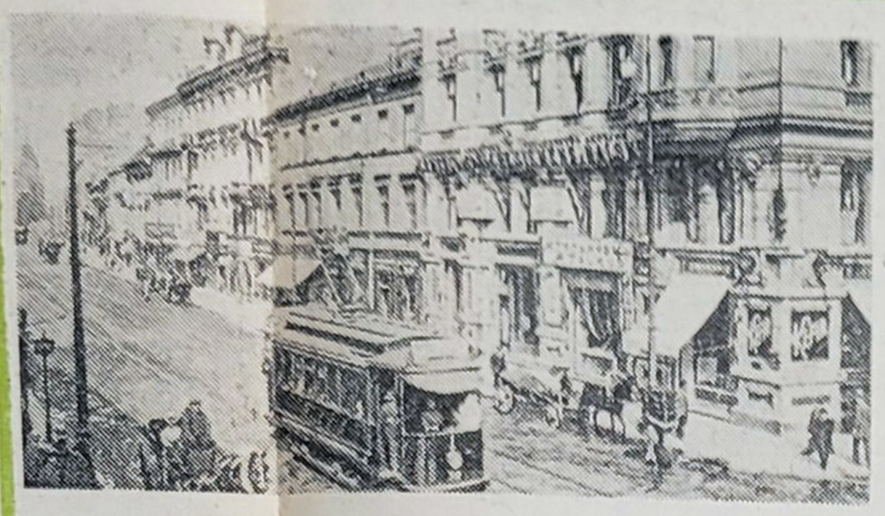

Na początku XX wieku Nowym Światem kursowały już elektryczne tramwaje.

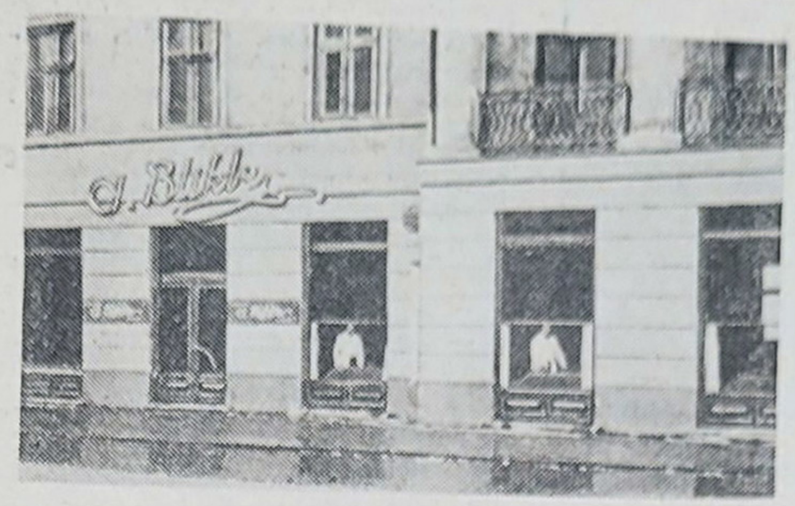

A tak wyglądał fronton cukierni Bliklego przed II wojną światową, podobnie prezentuje się i dziś.

Barykada powstańcza na Nowym Świecie w 1944 roku, z prawej strony widoczny szyld cukierni.

RIA ami pisana

Napisał JERZY MAJKA

Ciąg dalszy ze strony 1

wydaje wam się to może zaskakujące, kiedy pomyślicie, że o kilkadziesiąt czy kilkaset metrów od tego miejsca odbywały się łapanki, że dzień i noc toczyła się walka z okupantem. Ale właśnie w takich czasach ludzie szukali chwili odprężenia, była to bowiem również forma samoobrony.

W projektowaniu i urządzaniu ogródka uczestniczyli najwybitniejsi architekci, rzeźbiarze i malarze (m.in. prof. Bohdan Pniewski). Dla ludzi sztuki, których okupant pozbawił możliwości twórczej pracy, była to jedna z niewielu możliwości projektowania i realizowania swych artystycznych pomysłów nie tylko w marzeniach.

Pierwszego sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie. Na Nowym Świecie, w okolicach cukierni, stanęła jedna z powstańczych barykad. Znowu jak w 1939 roku firma dostarczała — tym razem obrońcom barykady — świeżego pieczywa. A potem wszystko — dom i ogródek — zostało wypalone aż do fundamentów.

Do zniszczonej Warszawy pan Jerzy Blikle przyjechał na rowerze już w lutym 1945 roku. Od prezydenta miasta otrzymał przydział lokalu w Alejach Jerozolimskich 51. Pościągał meble z sąsiednich piwnic i otworzył pierwszą w lewobrzeżnej Warszawie... restaurację. Bo znowu nie było ciastek. Sprzedawało się więc chleb z wędliną, napoje, gorące dania... Zakład Bliklego reprezentował jak na owe czasy niebywały luksus, ponieważ warszawska gastronomia oferowała swoje usługi najczęściej wprost na ulicy...

Dopiero w 1948 roku pan Blikle ze swoim zakładem cukierniczym powrócił na tradycyjne miejsce przy Nowym Świecie.

5. Warszawskie pączki

W DUŻEJ MISIE, wielkością przypominającej balię do prania, stoi zarobione ciasto. Na długim stole-stolnicy toczy się je w wałki i następnie tnie na kawałki. Żeby w takim „kandydacie na pączka" znalazło się wszystko, co należy, trzeba dodać jeszcze trochę konfitur i następnie ulepić z tego wszystkiego coś w rodzaju „piguły".

„Piguły" owe układa się na deskach i pozwala im rosnąć w temperaturze 26—30 stopni C. To wyrastanie należy jednak przerwać w momencie, kiedy ciasto zbliży się do granicy opadania. Tylko wtedy pączki będą jednocześnie „wyrośnięte i opadnięte" i można je już wrzucać do dużego rondla z wrzącym smalcem a po wyłowieniu dużym sitem — oczywiście też w odpowiedniej chwili — dla kosmetyki wykąpać w polewie lukrowej. Przepisy w tej sprawie — stanowiące swoisty „patent" zakładu — opracował jeszcze, i swoim następcom przekazał, założyciel firmy, pan Antoni.

Pan Jerzy ma również na swoim koncie „słodkie wynalazki". Od dzieciństwa ze strucli makowej zawsze wyjadał sam mak uważając, że ciasto tylko go psuje. Wpadł więc na pomysł wypiekania makowników, w których prawie w ogóle nie ma ciasta. Wymyślił też przepis na lekkie faworytki, bo nie znosił tłustych faworków. Strucle ozdobił „przyrumienionym warkoczem", bo zawsze najbardziej smakował mu spękany grzbiet.

Okazało się, że tymi swoimi pomysłami trafił w gusty smakoszy nie tylko w Polsce.

W kantorku wiszą portrety z autografami i dedykacjami: Rubinsteina, Antoine'a, Moisiejewa, Małcużyńskiego i kilku innych znakomitości. To wyrazy uznania dla wyrobów firmy. Bywało, że samoloty polskie latające do Paryża woziły specjalnie dla Artura Rubinsteina zgrabnie opakowane pudełeczka z pączkami. Przysmaki od Bliklego eksportowane są też za pośrednictwem „Prodimexu" do Wielkiej Brytanii, NRF i Australii.

6. Rodzinna tradycja i mała refleksja

PRZED KILKU MIESIĄCAMI, 11 września, firma Blikle obchodziła stuletni jubileusz. Wydawnictwo „Sport i Turystyka" wydało z tej okazji pięknie ilustrowany album, w którym obok ciekawej monografii tego starego warszawskiego rodu cukierników, pióra — Olgierda Budrewicza, znalazły się wspomnienia Stanisława Lorentza, Jerzego Waldorffa, Ludwika Sempolińskiego i Jerzego Hryniewieckiego. Uzupełniając to, co opowiedział mi pan Jerzy Blikle, zaczerpnąłem z niego trochę ciekawostek do niniejszej opowieści. Album nosi tytuł „Sto lat na Nowym Świecie".

Syn pana Jerzego — Andrzej — zerwał z tradycją rodzinną broniąc pracy doktorskiej pod tytułem „Matematyczne aspekty maszyn bezadresowych". Pozostaje więc jako ewentualny następca wnuk, czteroletni Łukasz. Trudno jednak dziś powiedzieć, czy urzeknie go pasja dziadka...

A byłaby to ładna — choć rzadko dziś spotykana — tradycja, zgodnie z którą zawód wraz z pasją i doświadczeniem przechodzi z ojca na syna, z dziadka na wnuka...

Foto: K. ADAMOWSKI oraz reprodukcje z albumu „Sto lat na Nowym Świecie".

Żeby w takim „kandydacie na pączka" znalazło się wszystko co należy, trzeba jeszcze nałożyć trochę konfitur lub marmolady.

Pączki wrzuca się do dużego rondla z wrzącym smalcem.

ARTYLERIA PRZECIWGRADOWA

● Ponad miliony ha zasiewów i plantacji winnych na północnym Kaukazie i Zakaukaziu oraz w Azji Środkowej, ochrania się przed gradem za pomocą „artylerii pokojowej". Agrotechnicy radzieccy ze specjalnych dział ostrzeliwują chmury gradowe bezodłamkowymi pociskami. Wystarczy 5—10 salw, aby zlikwidować w zarodku, zdawałoby się, nieuchronną burzę.

KARIERA KOLEJEK LINOWYCH

● Kolejki linowe mogą śmiało konkurować z naziemnymi środkami transportu — twierdzą radzieccy fachowcy. Mieszkańcy dzielnic miejskich, położonych na wzniesieniach, posługują się takimi liniami komunikacyjnymi znacznie chętniej niż autobusami, tramwajami czy trolejbusami. W ZSRR istnieje obecnie blisko 1 tys. podniebnych magistrali. Do końca 1970 roku zostanie zbudowane dalsze 100 kolejek linowych.

METALE KOLOROWE Z „KRAJU KOCZOWNIKÓW"

● Kazachstan, który zrósł się w tradycji z wizją kraju stepowych koczowników, znalazł się w ZSRR na czołowym miejscu w dziedzinie produkcji metali kolorowych. W obecnej pięciolatce (1966—1970) kazachstańska metalurgia kolorowa zwiększa rokrocznie wielkość swej produkcji prawie o 11 proc. Metale z Kazachstanu są eksportowane do ok. 40 krajów świata.

AUTOMATYCZNY KOREKTOR

● Inżynierowie radzieccy pracują nad sposobem automatycznej korekty, która będzie kontrolować operacje na linotypie. Praktyka wykazała, iż linotypiści podczas składania rękopisów popełniają średnio dwie omyłki na 1000 znaków. Przeciętna liczba „byków" — po zastosowaniu nowego urządzenia — zmniejszy się do jednego błędu na milion znaków.

„DIAMENTOWE" KOŁO

● Bezcenne wprost urządzenie przekazał ostatnio przemysł radziecki jednej z hut, zajmujących się obróbką szkła. Wykonano mianowicie koło szlifierskie, na którego powierzchni umieszczono aż 3,5 kg diamentu.

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

PEWNEGO DNIA na lekcji literatury, gdy do dzwonka pozostało jeszcze z dziesięć minut, Światosław Nikołajewicz powiedział:

— Dziś na moją prośbę Gleb przygotował małą niespodziankę. Przeczyta nam kilka listów, które jego dziadek pisał do krewnych i przyjaciół. Ctóż te materiały z archiwum rodzinnego przedstawiają ogromną wartość, dzięki nim poznamy krąg zainteresowań pisarza, świat jego uczuć i najżywszych upodobań.

Gleb, który dawniej peszył się śmiertelnie, gdy go wywołano do tablicy, tym razem pewnym, sprężystym krokiem przeszedł między rzędami ławek i zasiadł przy stoliku nauczyciela, który ustąpił mu miejsca.

O każdym liście Światosław Nikołajewicz mówił, iż jest on „bardzo znamienny".

Innym razem pod koniec lekcji Światosław Nikołajewicz zaproponował:

— Poprośmy Gleba Borodajewa, żeby nam opowiedział jakąś historię z życia swego dziadka.

Gleb znów przeszedł między rzędami ławek swoim nowym sprężystym krokiem i usiadł przy stoliku. Ale nic nie mógł sobie przypomnieć. Przez całą lekcję byłem w strachu, że nauczyciel wyrwie mnie do tablicy, zacząłem więc nalegać:

— Pomyśl, Gleb. Przypomnij sobie cokolwiek... To takie ciekawe. Takie ważne.

— Przypomnij sobie! — podjęli błagalnie inni, którzy też byli w strachu, że ich nauczyciel zapyta.

— No widzisz, jak wielkie jest zainteresowanie biografią twego dziadka, a tym samym literaturą — rzekł Światosław Nikołajewicz.

Gleb przypomniał sobie wreszcie, że kiedyś dziadek zabrał go do sklepu.

Do dzwonka zostało jeszcze dziesięć minut.

— No cóż tam kupowaliście? — wrzasnąłem. — To takie znamienne!

Gleb snuł wspomnienia...

Na następnej lekcji sami zaczęliśmy prosić:

— Niech Gleb jeszcze sobie przypomni, panie profesorze Niech nam opowie!...

— Oto powstaje żywy kontakt z postacią pisarza! — zauważył Światosław Nikołajewicz.

Gleb przypominał sobie jedną historię po drugiej. W piersi jego biło na wpół uczciwe, szlachetne serce, gotowe przyjść z pomocą kolegom.

Wartość pisarstwa G. Borodajewa rosła w naszych oczach z każdą godziną!...

Rozdział III

w którym zbliżamy się jeszcze o kilka kroków ku strasznej historii.

WSZYSTKO, o czym czytelnik dowiedział się w pierwszych dwóch rozdziałach, należy do mych odległych wspomnień — działo się to w ubiegłym roku.

A w tym roku Światosław Nikołajewicz opuścił naszą szkołę.

Dawniej, gdy robiliśmy coś nie tak, jakby sobie życzył, groził nam:

— Ucieknę na emeryturę, jeżeli się gruntownie nie zmienicie!

Tymczasem, żegnając się z nami, nie mógł zapanować nad wzruszeniem.

Na miejsce Światosława Nikołajewicza przyszła Ninel Fiodorowna.

Była to zgrabna osóbka licząca lat dwadzieścia pięć. Może o nauczycielce nie wypada mówić w ten sposób? Ale ona absolutnie nie wyglądała na nauczycielkę. Kiedy szła podczas pauzy korytarzem, śmiało można ją było wziąć za uczennicę dziesiątej lub nawet dziewiątej klasy. Miała taką minę, że zdawało się, iż lada chwila wybuchnie śmiechem. Nigdy nie widziałem u nauczycieli takiego wyrazu twarzy. Poza oczami nikt nie nazywał jej inaczej, tylko po prostu Ninel.

Kiedy Ninel Fiodorowna weszła po raz pierwszy do naszej klasy, od razu zwróciła uwagę na stelaż umieszczony między parapetem

okiennym a tablicą. Popatrzyła na wielką fotografię i spytała:

— Kto to jest ten G. Borodajew?

Osłupieliśmy, jakby nas kto przymurował do ławek. Tylko Mironowa nie straciła kontenansu. Lubiła podpowiadać nauczycielom. Teraz też podniosła rękę i wyjaśniła:

—To nasz słynny ziomek. Tworzył w drugim ćwierćwieczu naszego stulecia.

— A co on takiego tworzył?

— Rozmaite dzieła — odpowiedziała Mironowa. — Mamy kółko literackie jego imienia.

— Imienia Borodajewa? — roześmiała się Ninel Fiodorowna. Pochodziła z innego miasta, do którego sława naszego znakomitego ziomka widać jeszcze nie dotarła.

Mironowa znów podniosła rękę:

— Do naszej klasy chodzi wnuk pisarza Borodajewa. Siedzi w ostatniej ławce w środkowym rzędzie. Jest honorowym członkiem naszego kółka.

— Honorowym? Po co taki szumny tytuł?

Ninel Fiodorowna zajrzała do dziennika.

— Niechaj mi Gleb wybaczy. Nie czytałam książek jego dziadka. To moja wina. Po zamknięciu wystawy — wskazała na stelaż — wezmę te wszystkie książki i przeczytam. A więc nie gniewaj się, Glebie.

Osłupieliśmy jeszcze bardziej. Po pierwsze, nigdy jeszcze żadna nauczycielka nie prosiła o przebaczenie. A po drugie — Ninel chciała **zamknąć** „Kącik Borodajewa"...

Zrobiło mi się smutno: „Więc starszoklasiści nie będą już przybiegać do nas? I nikt już nie powie: W tej klasie potrafią uczcić... W tej klasie kochają literaturę! Staniemy się zwyczajną klasą. Jak wszystkie. Czy to możliwe?"

Inni też zmarkotnieli, czułem to — siedzieli nieruchomo, nawet zeszyty nie szeleściły.

Mironowa znów podniosła rękę:

— Przygotowujemy specjalne zebranie kółka, poświęcone twórczości naszego znakomitego ziomka...

Nade wszystko pragnęła dopomóc nowej nauczycielce w jak najszybszym rozeznaniu się w sytuacji.

— W którym ćwierćwieczu naszego stulecia pisał Borodajew? — przerwała Ninel Fiodorowna.

Mironowa wyrzuciła rękę w górę:

— W drugim!

— A może zaczniemy od pierwszego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia — zaproponowała nauczycielka. — Od Puszkina, na przykład... I będziemy posuwać się dalej. Aż powoli dojdziemy do Borodajewa.

— Nasze kółko posiada zamiłowania twórcze — odezwał się Nieboszczyk. — Każdy z członków pisze.

— Ja też piszę wiersze — powiedziała Ninel Fiodorowna. — Któregoś dnia wam przeczytam. Jeśli zdobędę się na odwagę. Co chcielibyście jeszcze o mnie wiedzieć? Jestem niezamężna. Gram w tenisa. Nauczyciele na ogół nie opowiadają o swoim życiu osobistym. A to zawsze ciekawi. Sama wiem o tym. Pamiętam...

Zaczynała mi się podobać. Doświadczone oko mogło niemal bezbłędnie dostrzec, że inni

chłopcy też się ożywili — zaczęli się kręcić, szurać nogami.

— Nie mam w tym mieście żadnej rodziny ani przyjaciół, ani znajomych. Będę miała tylko was... O ile dobrze pójdzie.

Dawniej na pierwszy dźwięk dzwonka wszyscy hurmem wybiegali z klasy. Dziś zaczęli wstawać powoli, jak gdyby ociężali od różnych refleksji i wątpliwości.

Podszedłem do Ninel Fiodorowny.

— Proszę pani, Borodajew napisał taką powieść „Tajemnica starej willi"... Fantastyczny kryminał!... Członkowie kółka chcieli pojechać do tej willi. Obejrzeć miejsce opisywanych wypadków... To niedaleko, zaledwie godzina drogi, jeśli pociągiem elektrycznym.

— Więc on pisał kryminały? — spytała po cichu, wskazując ruchem głowy fotografię Borodajewa.

— A pani lubi je czytać?! — wykrzyknąłem ze źle ukrywanym podnieceniem.

— Wszyscy lubią. Tylko niektórzy się nie przyznają. Wstydzą się.

„Oto prawdziwe pokrewieństwo dusz! — pomyślałem. — Ona zgaduje moje myśli..."

C. d. n.

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKI

TYTUS, ROMEK i ATOMEK

Rys. H. CHMIELEWSKI

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 5015 P-20

SAMOCHODOWE CIEKAWOSTKI

● Oto prototyp samochodziku, przeznaczonego do jeżdżenia po zatłoczonych ulicach dzisiejszych miast. Długość pojazdu — 205 cm, szerokość — 136 cm, wysokość — 152. Ten mini-samochodzik posiada również maleńki silniczek ● pojemności 250 cm^3.

KOŁO GIGANT

● **Posiada ono średnicę wynoszącą aż 2,9 metra. Jedna opona waży blisko półtorej tony! Koła-giganty przeznaczone są dla amfibii o ciężarze własnym 100 ton. Na takich pojazdach można przewozić ciężary o wadze 60 ton!**

BLISKO PÓŁ MILIONA WOZÓW Z ŻERANIA

● Ponad 460 tysięcy samochodów osobowych ma wyprodukować w latach 1971—1975 FSO na Żeraniu. W roku 1970 fabryka wypuści 75 tys. wozów, a w ostatnim roku przyszłej pięciolatki już 110 tysięcy.

„ASTRA — 3"

● **Na zorganizowanej niedawno wystawie samochodowej w Chicago (USA) koncern General Motors zademonstrował eksperymentalny model samochodu przyszłości — „Astra-3".**

Pojazd posiada gazowo-turbinowy silnik o mocy aż 317 KM i nowoczesny napęd na tylne koła. „Astra-3" posiada tylko trzy koła (jedno z przodu), co przy dużych szybkościach ma zapewnić lepszą stabilność. Samochód przyszłości, łącznie z obciążeniem (2 osoby) waży zaledwie 1000 kg.

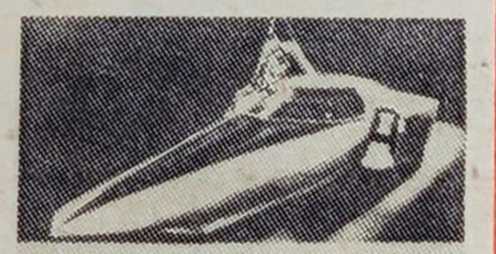

Korespondencja z NRD

O „CZERWONYM MARYNARZU" i „LAMPIE ALLADYNA"

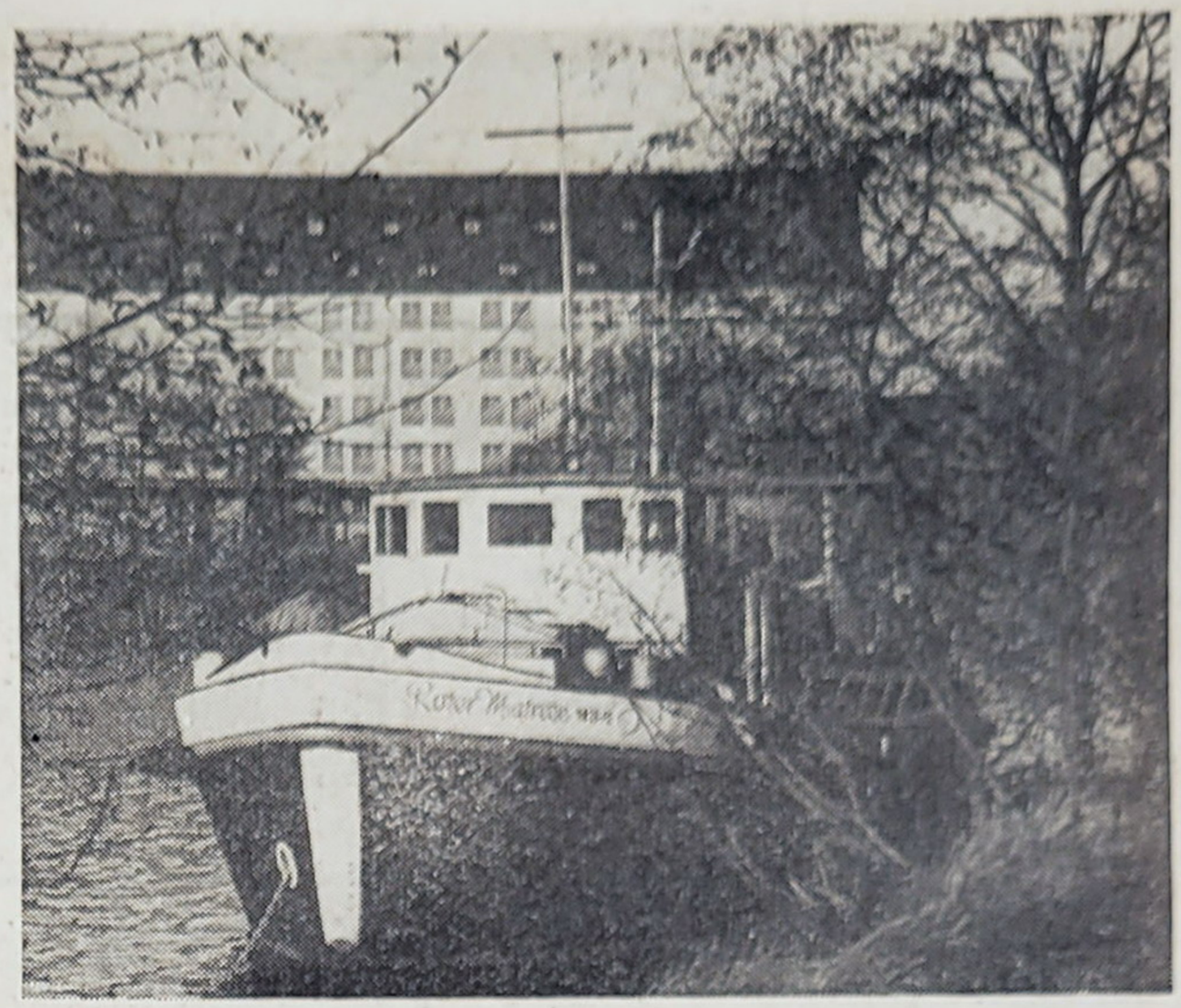

To jest właśnie „Czerwony Marynarz". Przed laty holownik, dziś pionierski statek. Długość jego wynosi 26 metrów a szerokość 6. Moc maszyn — 700 KM. Po przebudowie zabiera 24 osoby zaokrętowane w kajutach, nie licząc miejsc w hamakach.

SAMO NABRZEŻE to ani beton, ani nawet drewniany pomost. Ot, po prostu zwykły wysoki brzeg kanału Szprewy porośnięty krzakami.

Ale statek przycumowany do pni drzewnych robi wrażenie imponujące. Jest duży, czysty, lśniący, wymuskany.

Willi rzuca trap i po chwili siedzimy w kapitańskim salonie. U sufitu, zawieszona przemyślnym sposobem, kołysze się naftowa lampa, jedna z tych pierwszych okrętowych lamp, które wykonywano z artystycznym kunsztem.

— Skąd ją macie? — pytam kapitana, pana Horsta Gräfa.

— Wszystko opowiemy po kolei — zapewnia kapitan. — Siadajmy — zaprasza.

Willi przynosi suche drzazgi i rozpala ogień w żelaznym piecyku.

Miłe ciepło rozchodzi się po salonie. Można słuchać i notować.

Opowieść pierwsza

„Rozbitkowie"

PRZED KILKU LATY, w czasie wakacji, pan Horst wybrał się z uczniami na morze. (Obecny kapitan „Czerwonego Marynarza" jest w cywilu nauczycielem historii i geografii w Szkole Ogólnokształcącej w Fürstenwalde). Wypożyczyli sobie żaglówkę. Odpłynęli już dosyć daleko, gdy nadciągnął zły wiatr, odrzucił łódź od brzegu i zaniósł ją o kilkadziesiąt kilometrów od celu, który sobie obrali jej pasażerowie.

Oczywiście nic się nikomu nie stało. „Rozbitkowie" śmiali się ze swojej przygody, a potem doszli do wniosku, że przydałaby im się większa łódź. I to na zawsze.

Po powrocie do szkoły pan Horst zrobił listę instytucji, w których można nabyć tanim kosztem sprzęt wodny. Zanudzał znajomych i nieznajomych. I oto dowiedział się, że na jednym ze złomowisk stoi holownik Żeglugi Rzecznej, przeznaczony na kasację.

Znowu zaczęły się korowody. Po długich staraniach holownik przyznano szkole. Cóż, kiedy poza maszynami, które były jeszcze w dobrym stanie, wszystko wymagało generalnego remontu i przebudowy.

Opowieść druga

Pionierzy „stoczniowcami"

NADESZŁY KOLEJNE WAKACJE. Jedni uczniowie wyjechali na obozy pionierskie, inni z rodzinami na wczasy. Trzynastoosobowa grupa pionierów pod opieką pana Horsta zameldowała się w niewielkiej stoczni w Müllrose" remontującej małe łodzie.

Pan Horst został teraz „szefem" pionierskiej brygady stoczniowej.

Brygada pana Horsta musiała zarobić na remont „Czerwonego Marynarza" (taką nazwę nadali pionierzy swemu statkowi). Całymi dniami chłopcy smołowali barki i łodzie. W ten sposób zarobili 5 tysięcy marek. Oprócz tego kierownictwo Stoczni za dobrą pracę przyznało brygadzie 2,5 tysiąca marek premii...

Do brygady należały także trzy dziewczynki. Co prawda one nie smołowały barek, ale żywiły brygadę. Gotowały, prały i każdego wieczora myły chłopakom głowy oblepione smołą.

Już w czasie tamtych „stoczniowych" wakacji „Czerwony Marynarz" wyruszył w rejs kanałami Szprewy aż na berlińskie jeziora...

Opowieść trzecia

„Marynarski chrzest"

WYRUSZYĆ W REJS — to nie wszystko. Każdy członek załogi musi przejść marynarski chrzest.

Impreza taka odbywa się przy współudziale szkolnego lekarza. Lekarz przyrządza specjalne „miksturki", aby oczyścić od „wewnątrz" lądowego szczura i płochliwą duszę na marynarską przerobić.

Potem delikwenta smaruje się pianą mydlaną i... jazda za burtę! Oczywiście jest także specjalna formuła przysięgi. I nadanie imienia.

Imię wybiera zespół. A zespół, jak to zespół — nikomu najmniejszej przywary nie daruje. Jest więc „Monika od kanapek" (a to z powodu apetytu), jest „Zardzewiała Gwiazda Polarna", jest Jörg — „Pastuszek" — i wiele innych imion, z powodu których zresztą nikt się nie obraża.

Opowieść czwarta

„Lampa Alladyna"

W CZASIE KAŻDEGO REJSU „Czerwony Marynarz" zatrzymuje się na jednym z berlińskich jezior w dzielnicy zwanej Rummelsburg. Tam właśnie, na cmentarzysku starych statków, pionierzy prowadzą poszukiwania. Stamtąd pochodzi wisząca naftowa lampa i wiele bardzo starych okrętowych rekwizytów, które poszłyby na przetop, gdyby w porę nie wyciągnęły ich stamtąd ręce pionierów.

Kiedy jesteśmy na mostku kapitańskim, pan Horst otwiera potężną skrzynię. Pełno w niej starych lamp. Oczy moje przyciąga jedna z nich, jest to lampa pozycyjna. Obudowa masywna, ciężka, niemal hermetyczna. Taka nie zgaśnie w czasie największego sztormu!

— Prawdziwa „Lampa Alladyna"! — mówię unosząc ją w górę.

Wymiana spojrzeń między załogą. I... — Kiedy opuszczam statek, pionierzy wręczają mi ową lampę.

— Niech zawsze przyświeca, jako pozycyjne światło twego „okrętu" — mówi kapitan w imieniu załogi. — Baśniowa „Lampa Alladyna" spełniała życzenia; przy tej od nas — niech ci się dobrze pisze...

*

„Lampa Alladyna" stoi w moim pokoju. Dowiozłam ją cało. Tylko celnicy na lotnisku w Berlinie współczująco kiwali głowami, oglądając ją ze wszystkich stron.

Nie mogli się nadziwić, po co dźwigam taki ciężar. Widocznie nie biły w nich marynarskie serca.

WIESŁAWA MROCZEK
Foto: autorki